№ 2. Warszawa, dnia 11 Stycznia (30 Grudnia) 1896 roku. Rok XXXVIII.



Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

St. Ariel.

UŁUDY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy.)

— Eh, bo wszystko mnie nudzi i znudziło! — rzekła, i wraz z tem zerwała się tak żywo, iż pędzle zapomniane na kolanach rozsypały się po ziemi.

— Dobrze! Już farby na sukni! To tak wiecznie!

— Ja ci zaraz je zczyszczę... pozwól! — szepnęła Felcia, owa ospowata dziewczyna, która też natychmiast klęczała na podłodze przy zbieraniu pędzli.

— Ah, dziękuję ci – niedbale pozbyła ją Ada. I poczęła napowrót żartować z towarzyszkami.

Felicya milcząc usiadła na miejscu, ale jakoś nie podjęła przerwanej roboty, a małe swe oczki ciągle w bok zwracała ze smutkiem i rozżaleniem.

Tymczasem do pokoju weszła pani Darska.

Właściwie nie odpoczywała ona podczas lekcyi ani na jedną minutę, a mimo to nie była w możności nastarczyć żądaniom, ani zapobiedz zbytecznej swobodzie słowa, która jak szum podnosiła się tam, gdzie postać jej ginęła. Ucho jej wszakże sięgało równie daleko jak oko.

— Jakoś tu za głośno było. Panie tak dużo rozprawiacie, że robota na tem cierpieć musi koniecznie.

A następnie rozpoczęła zwykłą koleją uwagi swoje:

— Panna Felicya pół listka zaledwie wymęczyła przez trzy godziny, proszę koniecznie całość zakładać jednym tonem, później przyjdą cienie, światła, szczegóły...

— A panna Tola znów bez farb, zeschłemi resztkami maluje?

— Panno Julio, proszę wydobyć kształt i wypukłość, bo na seryo nie wiadomo: raki czy pomidory...

— A panna Ada ognisty wybuch Wezuwiusza urządza na palecie? Oj, oj! mogłabym ja dużo ciekawych rzeczy powiedzieć o usposobieniach pań, sądząc z robót i palety! I cóż tam dzisiaj, leniuszku? Paroksyzm projektów, czy niecierpliwości?

Lubiła tę dziewczynę, pociągnięta zapewne, jak wielu ludzi jej nieuchwytnym powabem powierzchowności, która wydawała się poprostu uosobieniem wdzięku i przymiotów.

— O co więc chodzi? Czy za trudne? — spytała, zatrzymując się tutaj.

— Nie, tylko sprzykrzyły mi się te ciągłe róże, bratki, azalje, narcyzy...

— To niech pani weźmie się do figurek.

— Kiedy nie mogę dziobać tych twarzyczek małych... Ja chciałabym coś zacząć z natury, coś wielkiego...

— Niech więc pani sprobuje tamtą grupę, którą maluje panna Marta; choćby sam bukiet i maskę.

Ada spojrzała ku stronie, gdzie jeszcze jedna z koleżanek o powierzchowności bardzo potulnej i dziecinnej, szkicowała na płótnie „martwą naturę."

— Ach, znowu kwiaty! — rzekła, wzruszając ramionami.

— Ależ pani głów nawet z gipsów nie przestudyowała dotąd.

— Bo to mazanie węglem takie nieprzyjemne! Ale, proszę pani, czy to naprawdę nie można odrazu malować z żywego modelu? — pytała niby nieśmiało, ale oczyma i uśmiechem pragnąc wyjednać przychylny wyrok, o którym sama wątpiła.

Na tym punkcie wszakże cierpliwość pani Darskiej zbyt często była nadużywaną, więc nie zdało się na nic przymilanie wszelkie.

— Chyba, że pani stworzy nową metodę, polegającą na pominięciu rysunku i tem sławę zdobędzie sobie odrazu — była odpowiedź.

— Kiedy ja o sławie jeszcze ani marzę.

— *Jeszcze?* — powtórzyła przełożona śmiejąc się z nią razem. — No, proszę! Czegóż tedy chce pani właściwie? — dorzuciła seryo.

Lecz nim doszły do porozumienia, już panią Darską odwołano gdzieś dalej.

Panna Śmieńska stała przez chwilę, w zadumie pracując myślą, najwyraźniej z obrotu rzeczy nie zadowolona, potem z nagłem ożywieniem w twarzy przypadła do Heli. W głowie jej zaświtało coś nowego, w czem spodziewała się dla swych pragnień znaleźć ujście.

— Wiem co zrobię, wiem! — zawołała. — Z wiosną zabiorę się do krajobrazu z natury; w tem najwięcej poczucie koloru znaczy, wybornie dam sobie radę, bo i cóż to trudnego być może, zresztą namówię którego z pejzażystów, będziemy urządzać wyprawy za miasto.

— We dwoje? sami? To stworzy się temat do nowego romansu, ale na starą modłę: z mężczyzną! — podchwytywały koleżanki, nie szczędząc innych uwag i docinków.

Tymczasem zegar uderzył godzinę trzecią.

W salach powstał ruch i gwar, poczęło się odsuwanie krzeseł i stalug, zamykanie pudeł, przyczem ta i owa wzdychała ubolewając, iż nie zdążyła ukończyć roboty, inne szczęśliwsze z przejęciem i dumą nabierały swoje dzieła, nastąpiło wreszcie poprawianie włosów nad czołem, kładzenie kapeluszy, okryć, poczem uczennice zaczęły wychodzić pojedyńczo lub po kilka razem, same, a niektóre pod eskortą lokajów i służących—jedne swobodne i chichoczące, inne sztywne a pełne powagi.

Ada do ostatniej chwili zacietrzewiona rozprawami, jedna z ostatnich wybiegła z Helą i Niutą, pozostawiając w szkole tylko hrabinę X., po którą kareta się spóźniała, i pracowitą Martę wciąż smarującą pędzlem po swem dużem płótnie, na którem wizerunek maski, pośród kwiatów i przyborów balowych, wyglądał jak bezkształtna plama atramentu.

Na schodach jeszcze rozlegało się echo głośnych rozmów, panny umawiały się bowiem, aby razem pójść na wystawę obrazów, gdzie jakąś nowość ogłoszono.

— Ale czekajcie! kiedy? o jakiej godzinie? niech się zastanowię! — dodała Ada. — Dziś już zapóźno, zresztą mam ekonomią po południu; jutro znów angielski, konna jazda i psychologia. To ułożymy pojutrze, w szkole — dorzuciła z nagłym pośpiechem, jak gdyby przypomniawszy sobie jeszcze coś, nie objętego powyższym programem.

I nareszcie znalazły się na dole w bramie.

Tam, z zagłębienia przeciwległej sieni, prawie ciemnej, bojaźliwie wysunęła się Felicya, która nogę jedną mając krótszą, kulała nieco, ze szkoły więc wyszła z najpierwszemi, by się nie opóźnić, i cierpliwie czekała na Adę, choć miała na sobie cienki, wytarty paltocik, a chłód marcowy, przejmujący był bardzo.

Znajomość między niemi datowała się z przed roku, od jakiegoś licznego zebrania, na którem uwielbiana, hołdami darzona „królewna,” idąc za niewytłómaczonym popędem, czy kaprysem, zbliżyła się do lekceważonego, samotnie w kącie tkwiącego „kopciuszka” i dziesięcioma minutami rozmowy kupiła sobie jego serce na zawsze.

Felicya bowiem, chroma, szpetna, drobna, aż „poczwarką” nazwana dla małej, skulonej figurki, szarej cery i niezdecydowanej barwy oczu i włosów, z usposobienia lękliwa i nieśmiała, chyba przez prawo kontrastu przylgnęła całą duszą do panny Smieńskiej, która jej się wydawała ideałem piękna i rozumu, którą też zdobiła sobie we wszystkie przymioty, przez własną dobroć i potrzebę kochania kogoś na świecie.

Z miłości też dla niej uczęszczała na lekcye malarstwa, choć z trudnością przychodziły jej wszelkie wydatki; dla Ady brnęła nieraz po błocie za sprawunkami lub posyłką, za nią wiecznie śledziła trwożnemi i żałosnemi oczyma odtrącanego kochanka. W niej też utkwiła obecnie wzrok z niepokojem i oczekiwaniem, spodziewając się, że usłyszy zachętę, aby poszły razem, i pudło malarskie weźmie do niesienia.

Lecz Ada w dniu tym przybory wszelkie zostawiła w szkole. Obojętnie tedy przesunęła wzrokiem, jak gdyby nie spostrzegając nawet nikłej postaci na tle ciemnych murów, i dalej ruszyła z towarzyszkami.

Felicya zawahała się chwilę, na twarzy jej widoczną była przykrość dotkliwa, ale nagle w rysach jej drgnął wyraz skrytego uporu istot poniewieranych, które przeciw nękaniu powstają, ścisnęła tylko ramiona, i żywo pomknęła naprzód, powłócząc nogą, i starając się dogonić trójkę uchodzącą szybko i wesoło.

Nim wszakże zdołała dopaść ich w punkcie krzyżujących się ulic, gdzie przystanęły, aby zamienić pożegnalny uścisk — one szybko się rozpierzchły — a kaleka pozostała na miejscu samotna, nieruchoma.

Oczy jej przygasły, mimo to patrzyła za Adą, patrzyła, dopóki smukła postać pięknej dziewczyny nie zniknęła w oddaleniu.

Panna Smieńska nie „chodziła” lecz raczej pływała po bruku, jak łódka po gładkiej przestrzeni. Krok jej lekki, posuwisty zdradzał przytem żywość temperamentu, zadowolenie i śmiałość istoty, którą niełatwo coś zadziwi, spłoszy lub zatrwoży. A wdzięczny zwrot głowy mówił o świadomości tego że ładną jest, i powabną chce być sama dla siebie równie jak dla ludzi, poprostu przez właściwość swojej natury nawskroś artystycznej.

Gdy skręciła na Plac Warecki, znacznie zwolniła kroku i poczęła ku przeciwległej stronie ciekawie rzucać oczyma, poza ogołocone z liści drzewa przy chodniku.

— Czyżby już przeszedł? — zapytała w duchu. — Spóźniłam się!... Ha! mniejsza z tem!

I tylko raz jeszcze obróciła głowę.

Zwykle spotykała tu doktora Wirskiego, młodzieńca, który ślizgał się znakomicie, tańczył jeszcze lepiej, postawę miał zgrabną a wąsy czarne — zawadyackie, oczy ciemne jak piwnice, ułożenie ujmujące, ubranie aż do rękawiczek zawsze świeże i wyszukane, cylinder lśniący, więc jako partner do „flirtu,” w salonie czy na spacerze był wcale pożądanym.

Wprawdzie niecierpliwiło ją cokolwiek to, że bardzo gorliwie oddając się badaniom mikroskopowym, nieraz opowiadał o tem, ona zaś, przy wrażliwej niespokojności umysłu, zdolna była raczej w oka mgnieniu świat cały w myśli przetrząść, niż zastanawiać się nad źdźbłem nowotworu, uwięzionego między szkłami aparatu. Nawet słuchać o podobnych „nudziarstwach” nie lubiła. Ale to, że Wirski zimną krew uczonego wkładał w prowadzenie onej „walki na stępione miecze,” to właśnie miało dla niej urok wyjątkowy!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ODCZYTY.

M. Flaum: O życiu i śmierci.

Znane są ogólnie opowieści o fakirach indyjskich, umiejących jakoby wprowadzać się w stan pozornej śmierci, i w stanie tym pozostawać przez czas kilku tygodni, nawet kilku miesięcy, potem zaś siłą woli własnej i przy pomocy pewnych tajemniczych praktyk powracających do życia.

Rzeczywistości faktów powyższych niepodobna już dziś zaprzeczać, niejednokrotnie bowiem stwierdzane bywały przez lekarzy. A jakkolwiek przy obserwacyach tych nie stosowano metody ściśle naukowej, nauka nie ma powodu do zbytniego względem zjawisk tych sceptycyzmu.

Niejednokrotnie obserwowany stan pozornej śmierci u jestestw niższego rzędu, t. zw. sen zimowy zwierząt wyższych, przedstawiają liczne analogje ze sztucznym letargiem fakirów, i upoważniają do przypuszczenia jego możliwości. Zresztą granica między życiem a śmiercią nie jest tak wyraźnie zakreśloną, jak się to z pozoru wydaje. Śmierć nagła nie istnieje. „Śmierć stopniowo rozwija się z życia.” Jedne komórki zamierają, gdy inne żyją jeszcze i funkcyonują, a ostatni tężec śmiertelny niewiadomo czy nazwać ostatnim objawem życia, czy pierwszym symptomatem śmierci.

W dalszym ciągu zastanawiając się nad stosunkiem życia do śmierci, warunki życia podzielił prelegent na dwie grupy: wewnętrznych i zewnętrznych. Warunkiem wewnętrznym jest harmonia pomiędzy pojedynczymi organami, nawet pomiędzy pojedynczemi komórkami ciała. Gdy harmonja ta raz w jednym punkcie naruszoną zostanie, robimy pierwszy krok do śmierci.

A naruszoną musi być koniecznie, albowiem życie jest nieustającą walką pojedynczych organów i komórek. Każdy organ, każdą komórkę uważać można niemal za osobne indywiduum, obdarzone instynktem życia, i przyswajania na swoją korzyść ze szkodą innych największej ilości pierwiastków odżywczych. W tej walce równowaga nie może trwać długo — jedne komórki, muszą uledz drugim. Wtedy zwycięzkie rozrastają się, i mnożą kosztem zwyciężonych, harmonja jednak zachwianą została, organizm cały cierpi, i proces życia musi zakończyć się śmiercią.

Przyczyny śmierci nosimy zatem wewnątrz siebie, i mimo najprzyjaźniejszych warunków zewnętrznych jest ona nieuniknionem przeznaczeniem naszem.

Ale właściwością organizmu, właściwością odziedziczoną po pierwszym tworze żywym, który wyłonił się z zamętu sił przyrody, jest przekazywanie życia dalszym pokoleniom. Przyczyny życia zarówno jak przyczyny śmierci nosimy wewnątrz siebie. Śmierć pojedynczej jednostki nie niszczy energii życiowej, która jest wieczną.

Wiecznie też życie rozwijać się będzie na ziemi naszej, o ile nie stłumią go warunki zewnętrzne. Warunki te zaś, jak przewidują geologowie, po wielu, wielu tysiącach lat staną się wprost niesprzyjające życiu.

Wtedy dopiero umrze wszystko co jest żyjącem na globie.

F.

Klemens Junosza

PRZYSIĘGA PANA SYLWESTRA.

OBRAZEK.

(Ciąg dalszy)

— Nie — odrzekł, — takie projekta nie zajmowały nigdy mego umysłu. W towarzystwach kobiecych nie bywałem, a znajomi moi, żonaci i ojcowie rodzin, znajomi, z którymi spotykałem się wieczorami przy kuflu, nie bardzo byli zachwyceni urokiem swych ognisk domowych. Częściej słyszałem od nich narzekania, aniżeli słowa zachwytu.

— Pojedyncze przykłady nie stanowią dowodu.

— Zupełna racya, ale mnie o dowód nie szło bynajmniej, gdyż wogóle kwestya małżeńska była dla mnie obojętna... tem więcej, że zaszła pewna niemiła okoliczność. Spojrzawszy w lusterko dostrzegłem, że jestem łysy i mocno siwiejący, obliczywszy zaś moje fundusze, przekonałem się, że jestem biedny. Były one na wyczerpaniu, postanowiłem więc powrócić do kraju.

— Do rodziny? do krewnych?

— Niby tak i niby nie. Właściwie sam nie wiedziałem, po co ja wracam; ale zdawało mi się, że wrócić trzeba... Żal mi było mego towarzystwa, bibliotek, w których codziennie po parę godzin przesiadywałem, przyjaciół z którymi prowadziłem, dysputy przy kuflu, w obłokach dymu tytuniowego... Szczerze mówiąc, żal mi było nawet starej, grubej szwabki, od której odnajmowałem pokój na poddaszu, ale nie było innego sposobu. Pożegnałem przyjaciół i szwabkę, i znalazłem się w Warszawie... Krewni powitali mnie dość słodko, na drugi dzień mieli miny kwaśne, na trzeci gorzkie jak aloes. Nie podobałem im się stanowczo.

— Dlaczego?

— Z wielu powodów. Jako ludziom bogatym nie była im przyjemna obecność ubogiego krewnego, zwolennikom blichtru i tak zwanego szyku, nie przypadała do gustu moja zaniedbana powierzchowność; raziła ich broda rozczochrana, łysina, surdut źle skrojony, zaplamiony i połatany miejscami. Przestałem u nich bywać.

— A z czego pan żyłeś, z czego utrzymywałeś się?

— Miałem jeszcze trochę resztek, a nie potrzebuję wiele.

— I wziąłeś się pan zapewne do pracy, znalazłeś zatrudnienie, zarobek?

— Zgadł pan dobrodziej, ale tylko w połowie.

— Jakto panie?

— Zatrudnienie miałem, ale zarobku nie.

— Nie rozumiem.

— Bardzo prosta rzecz. Czytywałem gazety w cukierni, grywałem w szachy, chodziłem do bibliotek wertować różne księgi, a wieczorami włóczyłem się po szynkowniach, także dla zatrudnienia.

— Co?

— Studyowałem pilnie gwarę łobuzów nadwiślańskich, zbierałem materyały do „języka andrusów."

— Miałeś pan zamiar napisać dzieło?

— Albo ja wiem. W ciągu mego życia studyowałem różne przedmioty, ale tak sobie, więcej dla własnej satysfakcyi, aniżeli dla popisu. Dzieło... stworzyć dzieło, panie, to trzeba czasu, trzeba systematycznej pracy... a ja nie do tego. Ja, szczerze mówiąc, jestem... jestem.. ludzie nazywają takich próżniakami. Czy nie tak?

— Zdaje się.

— Nie jest to definicya ścisła, bo kto jest zatrudniony, ten nie próżnuje.

— Ale też i nie zarabia.

— Temu nie przeczę; lecz wracam do mojej smutnej historyi. Studya nad gwarą łobuzów nadwiślańskich, miały jak dla mnie nadspodziewanie dobry skutek.

— Napisałeś pan dzieło o „języku andrusów?"

— Ale zkąd!

— Więc?

— A no, widzi pan dobrodziej, było takie zdarzenie. Właśnie wychodziłem z szynkowni na Czerniakowskiej, w towarzystwie dwóch dorożkarzy, gdy w tej samej chwili przejeżdżał powozem mój kuzyn, który miał zamiar oglądać jakieś place w tamtych stronach. Zobaczył mnie, o bo mój kuzynek ma bystre oko. Ukłoniłem mu się najuprzejmiej, ale odwrócił głowę, i podniósł ją do góry, jak gdyby dostrzegł coś nader ciekawego na kominie fabrycznym. Nie obrażam się o takie rzeczy, pomyślałem: nie to nie, i poszedłem dalej. Nazajutrz rano otrzymałem nader uprzejmy bilecik od kuzyna, z zaproszeniem, abym przyszedł do niego o godzinie szóstej, po obiedzie, na czarną kawę i cygaro.

— Więc kuzyn nie jest tak zły, jak się panu wydało.

— Owszem, bardzo dobry... zacny człowiek.

— Poszedłeś pan?

— A naturalnie. Czekał na mnie. Kawa była pyszna, cygaro wyśmienite, a po kilku słowach wstępnych, po rozmowie o pogodzie i innych obojętnych przedmiotach, rozpoczął się właściwy wykład.

— Co za wykład?

— Zaraz się pan dowie. Kuzynek ma dar słowa, mówił płynnie, gładko jak profesor z katedry. Przedmiotem prelekcyi była umiejętność noszenia nazwiska, a zarazem określenie topografii miejscowości, w których ono noszone być nie może. Kuzyn mówił tak: mój kochany, mamy jedno nazwisko; jeżeli ja z godnością i poszanowaniem obwożę je własnym powozem po resursach, a ty zaś obnosisz je pieszo po obskurnych szynkowniach, to oczywiście jeden z nas czyni nazwisku honor, a drugi ujmę. Honor czynię ja, ujmę ty. Odrzekłem, że to jest przedmiot wymagający dłuższej dyskusyi, że w historyi starożytnej można znaleźć przykłady... Nie chciał słuchać, dał mi świeże cygaro, zapewne w tym celu żeby mi zatkać usta — i oświadczył krótko, że dla człowieka, który jak on, ma córkę dorosłą, i pragnie ją wydać za kawalera z godnem nazwiskiem, nietylko przykłady z dziejów, ale cała historya starożytna nie ma najmniejszego znaczenia. Widziałem, że go nie przekonam, więc nie siliłem się na argumenta, chociaż, jak się pan dobrodziej domyśla, nie zabrakłoby mi ich wcale...

Zatrzymał się, spojrzał na zegarek, na okna willi szczelnie zasłonięte roletami, westchnął i mówił dalej

— Do pociągu jeszcze czas, a ta hysteryczna piękność dotąd spoczywa. Pozwoli pan dokończyć opowiadania?

— Ależ proszę.

— Będę się streszczał. Ostatecznie kuzyn mi zapowiedział, żebym nazwiska nie włóczył po zakładach, w których przebywa motłoch i aby mi to zadanie ułatwić, zaproponował mi posadę tu, właśnie przy tych willach. Mam tytuł „pana rządcy," mieszkanie gratis, usługę, prawo używalności owoców i wszelkiej zieleniny z ogrodów, a prócz tego, pensyę małą, lecz wystarczającą na moje skromne potrzeby. Obiady gotuje mi żona stróża, w sąsiedniem miasteczku mam, jeżeli chcę, kufelek i towarzystwo.

— Jest i towarzystwo?

— Znakomite: ex-nauczyciel szkoły elementarnej, któremu się zdaje, że ja powinienem być ministrem; lekarz staruszek piorunujący na postęp, żyd Kielman, doskonały szachista i filozof, poczthalter rozgoryczony z powodu wynalezienia kolei żelaznych... i jeszcze kilku. Gawędzimy nieraz całemi wieczorami do późnej nocy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z RUCHU UMYSŁOWEGO.

Przy wprowadzonej przez dziennikarstwo nasze metodzie chciwego wyławiania z kroniki bieżących dziejów Europy wszelkich wydarzeń sensacyjnych, spraw efektownych, anegdot, kaczek dziennikarskich, bonmots i t. p., najważniejsze objawy duchowego życia Zachodu uchodzą częstokroć uwagi naszego ogółu.

Tam, na świecie powstają nowe kierunki, budzą się nowe idee, tam duch czasu w coraz inne przybiera się kształty, myśl ludzka pracuje, walczy... tam wedle słów poetki:

„Ludy się kędyś prą falą mętną,
Szumem jej wzbiera dziejowe tętno...

. . . .

A nam tymczasem młynek na strudze
Obraca plewy swoje i cudze."

Tak, tak. Umiemy na pamięć nazwiska uczestników różnych *Panam* i *Panaminów*, znamy cyfrę posagu panny Vanderbildt, nie ukryty przed nami żaden szczegół procesu margrabiego de Nayve, wiemy o kompromitującym Parnella romansie z jakąś mężatką i t. d., i t. d. Jednem słowem plewy.

Za to zdarza się, że nazwiska pierwszorzędnych nieraz pisarzy, myślicieli, moralistów, nazwiska ludzi, którzy niezwykły wpływ na naród swój wywarli, pozostają przez długie lata nawet oświeceńszym sferom naszego społeczeństwa zupełnie prawie nieznane.

Uwagi te nasuwają mi się zawsze, ilekroć myślę o Ruskinie.

Kto wie u nas o tym myślicielu, reformatorze, który wedle wyrażenia jednego z krytyków, „ulepił po raz drugi duszę angielską?"

Kto z pośród nas czytał jego dzieła, które w Anglii rozchodzą się w bajecznej liczbie egzemplarzy, których rozprzedażą trudni się wyłącznie wielka księgarnia „the Ruskin-house," dla których czytania i komentowania powstają osobne kluby i czytelnie w Londynie, Glazgowie, Liwerpoolu, Manchester i t. d.? Choćby przez wzgląd na tę niezwykłą popularność, a tem samem i niezaprzeczony wpływ, jaki pisarz ten na społeczeństwo swoje wywiera, sądzę, iż czytelniczki moje nie wezmą mi za złe, że tej najoryginalniejszej zresztą postaci dziewiętnastego stulecia całą pogadankę naszą poświęcę.

John Ruskin urodził się w roku 1818, w Londynie. Ojciec jego, przedstawiciel jednej z najbardziej znanych firm kupieckich, dorobił się milionów na handlu winem. Osobliwością w swoim rodzaju był James Ruskin. Wspólnicy jego i podwładni nie przeczuwali nawet, że ten najskrupulatniejszy w czynnościach swoich kupiec, najznakomitszy w Anglii znawca sherry, po wyjściu z kantoru innym zupełnie stawał się człowiekiem.

Rozebrany z chłodu i sztywności kupieckiej, chwytał jaki stary dramat Szekspira, lub najświeższy romans Walter Scotta, i głosem dźwięcznym, z uniesieniem entuzyasty odczytywał go żonie i synowi. Cześć piękna, miłość przyrody, jakiś entuzyazm estetyczny ożywiały całą tę rodzinę. Corocznie odbywali oni we troje bliższe

i dalsze podróże, w których dziecko murów miejskich uczyło się podziwiać i kochać naturę. Zachwyt, uniesienie, egzaltacya, w jakie wpadał kilkoletni malec na widok cudów przyrody, przerażało nieraz jego matkę. W 14 roku życia znalazł się Ruskin w Szwajcaryi. W zbiorze wspomnień zatytułowanym „Praeterita” jest ustęp opisujący wrażenie, jakiego doznał chłopiec na widok Alp, które niespodziewanie, na zakręcie jakiejś ulicy w Szafhuzie ukazały się po raz pierwszy oczom jego, całe różowe od promieni zachodzącego słońca. Było to niby wniebowzięcie jakieś. Gdyby był Krasińskim, powiedziałby jak poeta nasz: „Na gór czole, na wód dole, jedna piękność, jeden Bóg!”

Ta zdolność odczuwania i uwielbiania natury pozostała mu na całe życie. Podobny i w tem do geniuszów włoskiego Odrodzenia, z którymi posiada tyle rysów wspólnych, Ruskin zdaje się od dzieciństwa zostawać z przyrodą w ściślejszym niż inni ludzie związku. Jak Leonarda Alberti uzdrawiają go widoki natury, leczą jego cierpienia fizyczne i moralne. Miłość przyrody jest u niego namiętnością tak potężną, jak bywają inne namiętności ludzkie. „Nie podobna jej wyrazić słowami, i nikt z tych co jej nie doznają, nie jest w stanie pojąć, co to znaczy kochać chmurę lub skałę, kochać je dla nich samych, dla zaklętego w nich czaru.”

Ta głęboka miłość przyrody i wysubtelnione poczucie piękna, stawiają Ruskina w niezgodzie z duchem stulecia i narodu, śród którego żyć mu przeznaczono. Utylitaryzm epoki najjaskrawiej objawiający się w kramarskiem do szpiku kości społeczeństwie angielskiem, musiał być wstrętnym człowiekowi, który wierzył, że „owoc i nasienie stworzone zostały po to, aby wydały kwiat, nie zaś kwiat po to, aby w nim powstał zawiązek owocu i nasienia.”

Wiek lekceważący piękno, wiek pary osnuwający ziemię całą siecią kolei żelaznych, zasępiający każdą zieloną dolinę kłębami fabrycznego dymu, doprowadzający do fizycznego i umysłowego zwyrodnienia zastępy nieszczęśliwych, przykutych do przemysłowych warsztatów, jest w jego wyobrażeniu najohydniejszym w dziejach ludzkości okresem. „Pogardziliście przyrodą — mówi do współczesnych — pogardziliście świętem, głębokiem wrażeniem, jakie dają jej widoki.

Rewolucyoniści 93 roku zamieniali na stajnie katedry Francyi. Wy na promenady wasze zamieniliście wszystkie katedry ziemi — góry, z których tak blizko do Boga. Jeździć pociągami kolei żelaznych dokoła ich naw, i obiadować na ich ołtarzach, oto jedyny pomysł, na który zdobyliście się.”

Umyślnie kładę tu tak silny nacisk na tę miłość przyrody, na ten kult piękna, tak wcześnie i z taką potęgą objawiające się w duszy angielskiego estetyka-moralisty, ponieważ były one tłem, na którem rozwinęła się jego estetyczno-etyczna doktryna. Doktrynę tę możnaby zamknąć w wyrazach: przez piękno, ku dobru i prawdzie.

Ale powróćmy do biografii Ruskina. Nadzwyczajnemi zdolnościami obdarzony młodzieniec w 15 roku życia zaczął pisać, i drukować w pismach londyńskich artykuły w różnych kwestyach naukowych. Pierwsza jego książka wydana w 20 roku życia, nosiła tytuł: „Modern painters” (współcześni malarze). Musimy poświęcić jej tu nieco uwagi ze względu na wpływ, jaki na sztukę angielską wywarła. W pierwszych dziesiątkach naszego stulecia malarstwo angielskie znajdowało się w fazie upadku. Rutyna klasyczna, zasklepianie się w szczupłym zakresie jednych i tych samych tematów, handlarskie schlebianie gustom publiczności, starły z oblicza sztuki angielskiej rumieńce życia. W roku 1821 ze smutkiem wołał Constable: „za jakie lat trzydzieści nie będzie wcale angielskiego malarstwa.”

Odosobniony, zdala od tłumu nieudolnych i żadnymi artystycznymi porywami nie ożywionych malarzy ówczesnych, stał pejzażysta Turner. Była to dusza natchniona, nie dająca skrępować się powijakami mody i metody starej. Ruskina zachwycała poetyczna interpretacya natury, i te jakieś wizye nieziemskie, które spotykał w jego obrazach. Jego też zapewne miał na myśli, ofiarując pierwszą książkę swoją jako hołd uznania pejzażystom angielskim. Ale talent pojedynczy, choćby najpotężniejszy, przyszłości sztuce zapewnić nie może. Na szczęście dla tejże sztuki książka Ruskina dostała się do rąk garstki młodych, utalentowanych ludzi, którzy niezadowoleni z bezdusznych kierunków malarskich, panujących wówczas, i z wzorów których dostarczali im ich mistrze, stali niepewni, w którą stronę zwrócić się mają, gdzie szukać nowych ideałów artystycznych. Ruskin wskazał im jako cel „urzeczywistnienie dobra i prawdy przez piękno” jako środek „podniesienia ducha w podniebne szlaki.” Ideał artystyczny złączył z etycznym w jedną nierozdzielną całość. Jako wzory stawiał on im przed oczy starych mistrzów włoskich z epoki poprzedzającej Odrodzenie, t. zw. primitiwów, artystów naiwnych, którzy w wierze, w religijnem podniesieniu ducha, w adoracyi Bóstwa szukali natchnienia, i tworzyli dzieła, przeniknięte do głębi idealnym pierwiastkiem, zapewniającym im nieśmiertelność. Nie sztukę pogańską, nie zmysłowe piękno, którego kapłanami byli wielcy mistrze Odrodzenia: Rafael, Da Vinci, Michał Anioł, Veronese i inni, lecz sztukę pełną ducha, sztukę starych mistyków jak Fra Angelico, Cimabue, Giotto, Perugino, Ghirlandajo, Donatello i t. d., uważał za godną ludzkości uduchownionej, zdążającej do ideału.

Myśli jego padły na grunt przyjazny. Odrzucono całe szkolarstwo, wszystkie obowiązujące formułki, i z entuzyazmem zwrócono się do prerafaelitów, zarówno pod względem idei, jak i techniki malarskiej szukając u nich wskazówek. Ruskin dał sztandar i hasło, młodzi artyści pochwycili je, i rozpoczęła się walka.

Zwolennicy starych kierunków z prawdziwą zajadłością prześladowali cały ten ruch „duchowo skrzydlaty” — jak go nazywa Trepka, autor doskonałego studyum o prerafaelitach angielskich— młodzi w zapale polemicznym posuwali się także nieraz dalej, niż pozwalałoby uczucie słuszności, Ruskin w obronie ich prowadził formalną krucyatę, a jako człowiek rozporządzający wielkim kapitałem, nietylko duchowej opieki udzielał skrzydlatej rzeszy artystów-entuzyastów. I wkrótce uczuła Anglia, że nowe życie wstępuje w zmartwiałe ciało jej sztuki. W r. 1848 powstał związek prerafaelitów. Weszli doń Holman Hunt, Watts, Dante Gabryel Rosetti i inni. Ford Madox Brown'a, Edward Burne-Jones'a i wielu znakomitych malarzy angielskich, jakkolwiek nienależących formalnie do bractwa, uważać należy za przedstawicieli tego samego kierunku. Przyjrzyjmy się teraz niektórym postaciom tej nowej szkoły, ułatwi nam to zrozumienie całego ruchu. Dante Gabryel Rosetti, syn rewolucyonisty włoskiego z pod znaków Mazziniego, była to dusza płomienna. Nigdy nie stygnący wulkan gorzał w jego piersi. Poeta i malarz, obrazami ilustrował poemata swoje, natchnionemi słowami tłómaczył treść obrazów. Był on najgwałtowniejszym szermierzem swojego stronictwa, najgorętszym wyznawcą idei Ruskina. O obrazach jego mówiono, iż tak widoczną jest w nich dusza, że ciało zchodzi do podrzędnej roli. Umiarkowańszym, a pod względem techniki wyżej stawianym jest Holman Hunt.

Ze wspomnianego wyżej studyum Trepki pozwalam sobie wyjąć opis dwóch jego obrazów.

Na pierwszym widzimy wnętrze chaty cieśli z Nazareth. Syn Boży podniósłszy się od warsztatu, rozkłada zmęczone ramiona.

Przy ruchu tym cień padający od postaci jego rysuje się na ścianie w kształt krzyża, który z przerażeniem dostrzega Matka Chrystusowa, i przeczucie przyszłej boleści przenika jej duszę. Obraz ten nosi tytuł: cień śmierci.

Mimo prostoty użytych środków, obraz daje podobno wrażenie olbrzymie.

Drugi: „Tryumf niewiniątek” przedstawia ucieczkę do Egiptu.

Czy podobna z tego tematu wysnuć coś nowego? A jednak dokazał tego artysta.

Przed Przenajświętszą Rodziną ściele się mistyczny szlak, powietrzna girlanda z dusz pomordowanych niewiniątek, wizya tylko oku świętego Dzieciątka widziana.

Szalone trudności techniczne potrzebował przezwyciężyć artysta, by malarskimi środkami myśl swoją wyrazić.

H. C.

(*Dokończenie nastąpi*).

KARTKA
z dziejów pedagogii współczesnej we Francyi.

Je consens qu'une femme ait des clartés de tout.
Molière.

Jednym z najpłodniejszych i najbardziej cenionych pisarzy dramatycznych epoki minionej, był niezaprzeczenie w swoim czasie dzisiejszy dziekan Akademii Francuzkiej, sędziwy Ernest Legouvé. Odtwarzany na scenie przez talenta pierwszorzędne takich artystek jak Mars, Rachel, Ristori, porywał on widza natchnieniem potężnem utworów swoich, zachwycał umysły oświecone osnową, bogactwem powikłań dramatycznych, naturalnością uczuć i wykwintną formą dyalogu.

Epokę wielkich jego powodzeń scenicznych nazwaliśmy minioną nietylko dlatego, że nas od niej kilka dziesiątków lat oddziela, nietylko ze względu na to, że upodobania publiczności naszej we wszystkiem prawie od ówczesnych różne i odmienne, ale dlatego głównie, że sam charakter twórczości takiego Ernesta Legouvé naprzykład, obok tych, którzy przyszli po nim, nawet dla porównania postawionym być nie może. Po satyryku myślicielu przyszła kolej na tak zwanych wielkich bawicieli tłumów — po głębokim moraliście przyszli szermierze frazesowi kręcący karki

w obronie paradoksu — po czcicielach ideału nastały czasy ściągania z wyżyn wszystkiego co było ludziom bożyszczem — nurzania w powszedniości codziennego życia.

O Legouvé'm można śmiało powiedzieć, że był to człowiek „cały i jeden." Moralistą był w utworach swoich dramatycznych — moralistą gdy pisał swoją: Historyą moralną kobiety, i ów szereg zdobyczy prawdziwych na polu pedagogii zawartych w klasycznem prawdziwie dziele: „Ojcowie i dzieci." To też nie dziw, że moralista przeżył w nim dramaturga, a pedagog czynny pedagoga teoretyka.

Właśnie o działalności tego znakomitego pisarza na polu pedagogii czynnej słów kilka powiedzieć chcemy w tej krótkiej sprawozdawczej wzmiance.

Głębokość poglądów Legouvé'go jako socyologa nie pozwalała mu zapatrywać się na kobietę inaczej jak na odrodzicielkę społeczności. W jej podźwignieniu moralnem i umysłowem widział on zawsze rękojmią dobrze zrozumianego postępu i sam przyznaje, że większość jego prac dramatycznych to wszystko tylko waryanty zawsze jednego i tego samego tematu.

To też jak tylko w roku 1880 projekt reformy nauczania średniego we Francyi uzyskał sankcyą prawodawczą, a w tym projekcie znalazła pomieszczenie i reforma nauczania młodych dziewcząt, jak tylko zaczęto starania o wyszukanie dla nowych instytucyj odpowiedniego nauczycielskiego personelu i władz nadzorczych, nazwisko tego człowieka wybitnego znalazło się odrazu na ustach wszystkich.

Nakreślono nowy zupełnie program nauk dla żeńskich kolegiów i liceów, a jako wzór dla podobnych szkół normalnych żeńskich ufundowano pierwszą w Sèvres, pod Paryżem i dla przekonania ogółu o ważności przedsięwziętego dzieła reformy, pierwszą przełożoną zamianowano tam panią Juliuszową Favre, małżonkę wielce popularnego członka rządu obrony narodowej z czasów wojny niemieckiej.

Nad tą właśnie szkołą wzorową powierzono protektorat Ernestowi Legouvé'mu, którego on nie odrzucił pomimo 74 lat wieku jakie liczył podówczas. Zrozumiał dobrze ten człowiek, że nowy program domagał się sankcyi jego imienia, i że dla przykładu zarówno jak dla stwierdzenia praktyką od lat wielu głoszonych zasad i haseł, winien on dołożyć czynnej ręki do sprawy, której ważności społecznej tak wymownie bronił zawsze słowem i piórem.

Były to istotnie trudy nad wiek, bo ów starzec niezmordowanie dwa razy w tydzień odbywał podróż z Paryża do Sèvres, a tam na miejscu wszystko stwarzał od początku, wszystkiem kierował, nie cofając się nawet przed nauczaniem czynnem. Nie godzi się zapominać i o tem także, że za całą pracę swoją nie chciał on nigdy przyjąć proponowanego wielokrotnie wynagrodzenia.

Głośne były lekcye jego dla młodych dziewcząt zaawansowanych na tyle, że zużytkować mogły jego uwagi na przykład: o warunkach twórczości literackiej. Wiedział Legouvé lepiej niż ktokolwiekbądź, jaki jest proces myśli i jaki przy nim sposób tworzenia u wszystkich rozpoczynających swój zawód literacki młodych kobiet. Wielka lotność wyobraźni, bogactwo idei przewyższające zawsze prawie środki techniki artystycznej, niedostateczna konsekwencya procesu psychologicznego — oto według niego szkopuły, o które zazwyczaj roztrąca się w wykonaniu najlepszy pomysł i samo nawet rzeczywiste natchnienie udaremnia. Dlatego doradzał refleksyą gruntowną, dlatego twierdził, że dopóki myśl przewodnia — idea utworu sama nie podlegnie analizie drobiazgowej, dotąd nie godzi się przystępować do dzieła. „Róbcie zawsze skrupulatną analizę waszych idei zanim się zabierzecie do syntezy." Composer c'est décomposer, dodawał Legouvé, mówiąc do młodych słuchaczek swoich.

We wszystkich pracach tego myśliciela wyraźnem jest jak głęboko przejmowała go myśl wyznaczenia kobiecie należnego jej miejsca w społeczności; wszędzie znać jakie miał podniosłe pojęcie o przeznaczeniu kobiety i jakie jej przyznawał prawa. Zdolności kobiety, zwykł mówić Legouvé, warte są zupełnie zdolności mężkich, ale dlatego tylko dorównywają im w zupełności, że są jedne i drugie nawzajem zupełnie między sobą niepodobne. To też kto dobrze te prawa zrozumiał, kto wzajemny stosunek obu płci jak należy ocenił, ten zamiast troszczyć się o to, aby z kobiety zrobić mężczyznę, zawsze myśleć będzie nad tem, jakimi środkami dla dobra społeczności uzupełnić mężczyznę przez kobietę.

Raz na zawsze wyrzeczmy się niedorzecznej myśli, mówi w innem miejscu Legouvé, nauczania młodej dziewczyny tego wszystkiego czego nauczamy młodego chłopca. Wielką musi być różnica potrzeb jednej i drugiej płci pod względem umysłowym, skoro taką różnicę widzimy w ich ustrojach fizycznych, temperamencie i rodzaju uzdolni .

Myśl przyp...czenia kobiety do uczestnictwa w tem wszystkiem co przynosi ze sobą postęp, nie wydaje się Legouvé'mu bynajmniej własnością wyłączną naszego stulecia. Niejednokrotnie przypominał on z tego powodu zacytowane przez nas na początku słowa Molièra, zwracając uwagę na epokę, w której żył genialny komedyopisarz — epokę lekkości w obyczajach; powierzchowności w sądach, i klasycznego pod względem społecznym wstecznictwa. Po wszystkie czasy umysły głębsze, bezstronne i szlachetne pragnęły usamowolnienia kobiety przez naukę i podniesienia jej poziomu moralnego przez postawienie jej obok mężczyzny jako istoty równej bezwarunkowo; po wszystkie czasy stosowali to w życiu ludzie dobrej woli i zdrowego sądu.

To jasne pojęcie o wszystkiem co jest ludzkie, o które się dopomina Molière, to jest właśnie to wszystko co oczyszcza, prowadzi, zachwyca, ogrzewa i ożywia wedle słów Legouvé'go.

Pokrzyżowały się te wielkie myśli za dni naszych, pogubiliśmy drogi, błądzimy po bezdrożach, albo idziemy ku prawdzie po omacku, jak gdyby nam brak było wielkich wytycznych — jak gdyby i w naszych warunkach społecznych nie było obok nas na każdym kroku przykładów owej doskonałej równości przy rozumnie zużytkowanem prawie wzajemnych ustępstw, i dobrze pojętem obowiązku opartym na podziale pracy.

T. M.

Z nauki czystej i stosowanej.

Barwne fotografie, co za cudowny wynalazek! wołano z zachwytem, gdy prof. Lippmann ogłosił kilka lat temu o swem odkryciu. Możemy więc z najzupełniejszą wiernością przenosić na szkło i na papier owe przepyszne krajobrazy, którymi przyroda tak hojnie raczy nasze oczy, możemy nadawać życie monotonnym portretom fotograficznym, możemy uwieczniać uroczą grę kolorów zorzy porannej, odtwarzać wspaniałe kielichy kwiatów, bogate upierzenie podzwrotnikowych ptaków.

Teraz dopiero fotografia stanie się tem, czem być powinna — sumiennym artystą, badaczem, uważnym spostrzegaczem, który notuje wszystko co widzi.

Cieszyli się zwykli śmiertelnicy, amatorowie, malarze, uczeni, i podziwiali wynalazek Lipmanna. Niestety, dotąd miał on wady, głównie zaś tę, że naświetlanie klisz wymagało dużo czasu, bo jak wiadomo, czerwone barwy bardzo słabo działają na sole srebra, których rozkład wytwarza w warstwie żelatyny obraz rzucony przez soczewkę.

Jeżeli więc fotografowany przedmiot był czerwonym, trzeba go było trzymać przed aparatem godzinę, a nawet dłużej. Oprócz tego musiano zdejmować każdą barwę osobno, co znacznie przedłużało operacyę.

Te niedogodności przeszkadzały rozpowszechnianiu się wynalazku Lipmanna.

Nie sądźmy jednak, że dano się powstrzymać trudnościami. Przez parę lat ostatnich pracowano gorliwie nad usunięciem powyższych wad, i dziś jak się zdaje, zdołano je usunąć.

Dowiadujemy się bowiem, że p Attout-Tailfer który oddawna zajmuje się tą kwestyą, wynalazł klisze, bardzo nie wiele pozostawiające do życzenia.

Są one nieskończenie czulsze na wszelkie barwy od tych, jakie posiadaliśmy do chwili obecnej. Dość powiedzieć, że latem przy pochmurnem niebie zdołano otrzymywać momentalne zdjęcia o godzinie 6 m. 15 wieczór. Warstewka żelatyny, zawierająca srebrne sole jest zupełnie przezroczystą, co nadaje obrazom zadziwiającą delikatność, t. j. fotografie zachowują wiernie najdrobniejsze szczegóły przedmiotu, widzialne tylko z bardzo blizka, lub przez szkło powiększające.

Utrwalanie obrazu na kliszy, przenoszenie go na papier, odbywa się regularniej i prędzej, aniżeli zwykłym sposobem.

Czekajmy więc póki wynalazca nie otrzyma patentu, i nie objaśni nam wszystkich szczegółów swego odkrycia, czego jeszcze teraz nie może uczynić, i dopóki praktyka nie wyda ostatecznej aprobaty.

Ci, co mieli sposobność oglądać fotografie Tailfera, utrzymują, że wszelkie odcienie barw naturalnych są na nich odtwarzane z zadziwiającą dokładnością.

Jeżeli to wszystko sprawdzi się, to sztuka fotograficzna jeszcze bardziej się rozwinie i znajdzie nowe zastosowania.

Takiem nowem zastosowaniem jest świeżo wynaleziony cynematograf.

Przyrząd ten pozwala fotografować rozmaite fazy danego ruchu, lub danej sceny, i następnie odtworzyć ją ze zdumiewającą dokładnością.

Cynematograf jest więc tem dla oka, czem fonograf dla ucha, tak samo zapisuje ruchy ludzkie, jak tamten żywe słowo, aby je następnie powtórzyć na żądanie.

Wynalazcami jego są pp. August i Ludwik Lumière z Ljonu.

Cynematograf opiera się na znanych oddawna zasadach, i jest w pewnym stopniu pokrewnym znanym ogólnie kinetoskopom Edissona.

Kręćmy szybko nitką, na końcu której przywiązaliśmy rozżarzony węgiel a ujrzymy świetlane koło. Tłomaczy się to w ten sposób, że każdy obraz wywołany w oku, trwa w nim dłużej, aniżeli zjawisko, które go wywołało.

Widzimy zatem węgiel w miejscu, gdzie się on już nie znajduje, obok, dalej, jeszcze dalej. Wskutek tego obrazy układają się jeden obok drugiego, i widzimy węgiel równocześnie we wszystkich położeniach, jakie zajmował w swym ruchu.

Dla tej samej przyczyny zamiast spadających kropel deszczu spostrzegamy jednolite strumienie.

Bardzo łatwo można poznać praktycznie zasadę cynematografu przy pomocy zabawki, nazywanej zootropem.

Na obwodzie tarczy okrągłej i horyzontalnej umieszczamy kilkanaście szybko po sobie zdjętych fotografii, dajmy na to biegnącego konia, i wprawiamy ją następnie w ruch obrotowy, opatrzymy w zwierciadełko, umieszczone w środku tarczy. Wtedy obrazy kolejno odbijają się w lusterku a nam się zdaje, że istotnie widzimy biegnącego konia. Oto jak w cynematografie odbywa się składanie, czyli synteza ruchu.

Rozkładu dokonywa się przez odfotografowanie kilkanaście razy w przeciągu sekundy przedmiotu, będącego w ruchu. Wtedy każda fotografia będzie nam przedstawiała jednę fazę owego ruchu.

Tą metodą prof. Marey badał chód zwierząt i człowieka, lot ptaków i inne krótkotrwałe lub szybkie, a więc nieuchwytne dla oka zjawiska.

Znajdujemy się więc w możności notować wszelkie sceny i epizody przy pomocy fotografii a następnie odtwarzać je dla oka.

W cynematografie zużytkowano to bardzo dowcipnie.

Jest to w gruncie rzeczy aparat fotograficzny, w połączeniu z mechanizmem, który ma za zadanie odwijać pasek, będący kliszą w postaci cienkiej błonki.

Na tym pasku, przy pomocy mechanizmu, który piętnaście razy na sekundę otwiera i zamyka szkło aparatu, utrzymujemy szereg fotografii (do 1,000), które następnie wywołujemy, i utrwalamy w zwykły sposób.

Są one bardzo dokładne, bo pasek nie ma ruchu jednostajnego, lecz posuwa się z maleńkiemi przerwami, przez co w chwili gdy pada nań obraz z soczewki, znajduje się na miejscu. Inaczej fotografia wyszłaby zamazaną.

Jest to pierwsza połowa ogółu czynności, czyli rozczłonkowanie sceny na pojedyncze fazy, z których się ona składa. Otrzymawszy z negatywu pozytyw, t. j. kopię, przedstawiającą obraz w naturalnem cieniowaniu, wkładamy go do przyrządu, i nadajemy zupełnie ten sam ruch co i przedtem.

Patrząc w szkła cynematografu doznajemy takiego złudzenia, jakgdybyśmy mieli odfotografowaną scenę w rzeczywistości. Ludzie i zwierzęta poruszają się, gestykulują, drzewa gną się pod wpływem wiatru, statki płyną po wodzie, ptaki latają w powietrzu. Jednem słowem wypadki lub epizody, które zdarzyły się wczoraj, przed miesiącem, rokiem, odbywają się w naszych oczach, jak gdybyśmy byli przy nich obecni.

Przeszłość została cudownie odtworzoną przy pomocy tak prostego przyrządu — czyż to nie cudowny wynalazek?

Połączmy cynematograf z fonografem, a będziemy w stanie nie tylko patrzeć na minione sceny, lecz i słyszeć mowę osób, biorących w nich udział.

Od dziś dnia więc przeszłość można sztucznie przenosić do teraźniejszości. Nasi potomkowie za lat sto będą widzieli manewry floty, zaburzenia w Turcyi, upadek gabinetu we Francyi, zatonięcie okrętu, starcie się pociągów i demonstracye uliczne antisemitów w Wiedniu, Edissona przy pracy, aresztowanie Artona, wszystko co my uznamy za właściwe utrwalić za pośrednictwem cynematografu, i przekazać dla ich użytku lub ciekawości.

Wszystkie te sceny nasi synowie będą oglądali w rozmiarach rzeczywistych na olbrzymich ekranach z porcelany lub papieru, bo fotografie otrzymane w cynematografie dadzą się dowolnie powiększyć, a potem rzucić na ekran latarnią magiczną.

Obrazy te będą nietylko ciekawe ale i pouczające. Specyaliści wystudyować z nich mogą manewry wojsk, ruchy zwierząt, pracę zręcznego robotnika, taniec baletnicy, etc., jeżeli zwolnią szybkość paska, przesuwającego się za szkłem do tego stopnia, aby oko mogło zdać sobie ze wszystkiego sprawę.

Dla uczonych, dla turystów, dla podróżników, wojskowych przyrząd to nieoceniony i prawdopodobnie szybko się rozpowszechni.

W. U.

PROLETARYAT NAUKOWY

w Niemczech.

Od wielu już lat narzeka Europa cała na rażącą dysproporcyą, jaka zachodzi między wielkim przyrostem wchodzących w życie młodych sił o uniwersyteckiem wykształceniu, a środkami społeczeństw Europejskich do zużytkowania tego niezmiernego napływu uzdolnień w każdej gałęzi wiedzy.

Krótko mówiąc o wiele jest mniej posad sędziowskich i asesorskich, niż sędziów i asesorów ukwalifikowanych — mniej probostw niż dyplomowanych teologów — mniej sporów i procesów niż adwokatów — o wiele mniej chorych i chorób niż uprawnionych do pisania recept — a już co do młodych sił pedagogicznych, stosunek ten wykazuje nietylko wielkie zawody, na jakie narażają się wszyscy wstępujący na tę drogę, ale nadto jako następstwo: niebywałe nigdy przedtem obniżenie powagi i godności, jakiemu uległ stan nauczycielski.

Zobaczmy przedewszystkiem co się stało ze wzrostem uniwersyteckiego wykształcenia na kontynencie Europejskim od lat sześćdziesięciu. Pomijamy cyfry pośrednie, a wykazujemy tylko początek, środek i koniec tego sześćdziesięciolecia, poczynając od 1831 roku, wedle materyału statystycznego zebranego przez doktora Ernsta.

Na 10,000 mieszkańców korzystało z uniwersyteckiego wykształcenia w:

	r. 1831	r 1871	r. 1891
Niemczech	31	31	48
Austryi	—	38	55
Włoszech	—	39	51
Francyi	—	25	42
Belgii	24	40	82
Hollandyi	—	—	45
Szwajcaryi męż.	—	—	50
Szwajcaryi kob	—	—	5
Danii	—	—	47
Norwegii	—	40	76
Szwecyi	6	40	57
Rossyi	—	—	10

Jest tu w tych cyfrach do zauważenia odrazu, iż Niemcy pod względem wzrostu i wogóle pod względem ilościowego uczestnictwa młodzieży swojej w wykształceniu uniwersyteckiem, zajmują siódme zaledwie z kolei miejsce, a pomimo tego najgłośniejsze w naszych czasach są właśnie narzekania ztamtąd na taką nadprodukcyą uzdolnień — największe w prassie peryodycznej utyskiwania na mnożenie się zatrważające, tego jak oni go nazywają, proletaryatu inteligencyi.

Posłuchajmy co mówią Niemcy o sobie.

Największy kontyngens uniwersytetom dostarczają sfery urzędników, lekarzy, nauczycieli — tych wszystkich wogóle powołań i zajęć, w których ludziom łatwiej jest zdobyć się na wykształcenie dziecka, aniżeli na zebranie dla niego jakiejkolwiek oszczędności niezbędnej do założenia fabryki, warsztatu, albo zakupienia własności ziemskiej.

Rodzice tacy, którzy należą sami do tych klass oświeconych, a zatem pod pewnym względem uprzywilejowanych, tylko przy pomocy wykształcenia widzą możność utrzymania dziecka w swojej sferze, i dlatego robią wszelkie możliwe wysiłki, aby mu to wykształcenie zrobić dostępnem. Jak na tem wychodzą i oni i ich dzieci zobaczymy z ponurego prawdziwie obrazu stosunków niemieckich, jaki kreśli doktór Ernst w pracy swojej. Zaczynając od teologii, rozumie się protestanckiej, bo ta w Niemczech ze względu na wyznanie uważaną być może jako panująca, można powiedzieć, że od pewnego czasu materyalistyczne prądy epoki odwróciły w znacznej części młodzież od fakultetu teologicznego, a jeżeli w ostatnich czasach widzimy i na ten wydział napływ większy niż przedtem, to dla tej jedynie przyczyny, że cisną się tu już sami zrażeni do innych powołań — sami zniechęceni niepowodzeniem równieników poszukujących bytu na innych drogach. Ale i teologia wymaga studyów przez ciąg 7 semestrów, po nich przychodzi kolej na egzamina, a potem dwa lata obowiązkowej praktyki nauczycielskiej i znowu jeszcze jeden egzamin ostateczny, po którym 25 lub 26 letni adept uważałby się za kandydata do objęcia probostwa, gdyby z racyi wieku nie był obowiązany czekać jeszcze lat 6, t. j. do 32-go roku życia. Jeżeli wtedy zawakuje jakieś miejsce, i jeżeli on będzie kandydatem pierwszym z kolei, może otrzymać stanowisko przynoszące 2 tysiące marek. Z wyjątkiem nielicznych beneficyów lepiej uposażonych, pastor protestancki nie może przekroczyć z biegiem lat i położonych zasług, wynagrodzenia 4 tysięcy marek rocznie, z czego widzimy, że na tem polu do majątku przyjść niepodobna zupełnie.

Prawo, to jedna z dróg na którą garną się tłumy całe młodzieży, a jakkolwiek wyjątki tyl-

ko dochodzą tu do poważniejszych dochodów, a przy średniem uzdolnieniu i odpowiednich stosunkach płaca po 35 letniej pracy nie przewyższa 6 tysięcy marek, to jednak kto się tutaj dostaje za wybrańca losu uważanym bywa.

Górnictwo, służba leśna i roboty publiczne, wszystko to są powołania wymagające długich studyów specyalnych, a przytem praktyka przekonywa, że dzisiaj niepodobna się tam docisnąć przed 42 rokiem życia. I tu natłok niezmierny, i tu czekać trzeba czekać śmierci czyjejś koniecznie.

Od wszystkich wyżej wymienionych zawodów gorszą o wiele jest w naszych czasach owa niegdyś złotodajna medycyna.

Faktem jest, że dzisiaj w Berlinie jeden zaledwie na dziesięciu lekarzy dochodzi do 3 tysięcy marek dochodu rocznego. Jest w tej uprzywilejowanej kategoryi, stanowiącej jedną dziesiątą część ogółu lekarzy bardzo ograniczona liczba wielkich wziętości lekarskich, mały procent uwieńczonych powodzeniem średniem — reszta ograniczа się do wymienionej kwoty 3 tysięcy marek, przy której o założeniu rodziny myśleć nie można, ale ta reszta stanowi nie zapominajmy ani na chwilę, właśnie ową jedną dziesiątą, która jest przedmiotem zazdrości ze strony pozostałych dziewięciu dziesiątych.

Któż są pozostali?

Jak powiada doktór Ernst, ci pozostali — to nędza. Pismo specyalne: Aertztlicher Centralanzeiger, które od jakiegoś już czasu stale poświęca rubrykę krytycznym warunkom bytu z jakimi walczy większość lekarzy, pomieściło niedawno list jednego z takich skazanych. Opisuje on tam, że skrupulatnie obliczone honoraryа jego lekarskie wyniosły w ciągu roku 1,400 marek, a że mieszkanie i patent lekarski pochłonęły 1,200, pozostało mu 200 m. na zaspokojenie wszystkich potrzeb. Żył tak długo dokąd go dochodziła stała pomoc od rodziców, obecnie stracili oni całe mienie w nieszczęśliwej spekulacyi, nie wie przeto i t. d., i t. d.

Ostatnią nadzieję tej kategoryi stanowi zwykle ożenienie z posażną panną, a że powołanie lekarskie należy do takich, które wywierają dotąd pewien urok, więc często dosyć słyszy się o związkach podobnych. Bez posagu nie mógłby się też lekarz w Niemczech żenić na żaden sposób, bo i Towarzystwa ubezpieczeń bardzo wysokie premia naznaczają dla ludzi tego stanu z racyi niebezpieczeństwa, na jakie ich powołanie naraża.

Co do tego, jakie są szanse każdego z tych wyżej wymienionych, którzy po zdobyciu jakiegokolwiek stanowiska, zamarzą o wstąpieniu w związki małżeńskie, to można ich poklasyfikować w ten sposób:

Dla posiadaczy ziemskich najlepszą partyą małżeńską jest zawsze wojskowy. Dla wszystkich innych stanów pierwsze miejsce zajmuje prawnik posiadający posadę stałą, dalej adwokat, potem lekarz, potem duchowny protestancki, a ostatnie dopiero miejsce na tej drabinie zajmuje filolog, czyli nauczyciel, mniejsza już o to rządowy czy prywatny, bo wogóle upośledzenie tego stanu doszło już dzisiaj do stopnia, na którem niema wielkich różnic ani kategoryj.

Dyplomuje się filolog nie wcześniej jak w 27 lub 28 roku życia. Dawniej czekali kandydaci na posadę rządową 7 lat mniej więcej, teraz piszą o jednym takim, który czekając na posadę wystudyował medycynę i aby nie umrzeć z głodu praktykuje niby, wyglądając ciągle przyobiecanego stanowiska. Czeka już 11 lat w ten sposób.

Wspominają pisma z wymienieniem nazwisk kandydatów takich, którzy dożyli 50 lat wieku, a jeden z nich nawet szczęśliwie doszedł całych 60 lat.

Nauczyciel prywatny, który w Berlinie pobiera za godzinę lekcyi markę jedną, liczy się do szczęśliwych. Najczęściej zawierają się umowy na mieszkanie lub stół. Aby dostać posadę nauczyciela prywatnego z pensyą 1,000 marek, bez protekcyj i bez intryg obejść się nie można jak twierdzą.

Równomiernie z obniżeniem wynagrodzeń spadł stan nauczycielski w szacunku ogólnym, i nauczyciel prywatny uważa się dzisiaj za służącego.

Następstwem takiego stanu rzeczy jest ciągły przyrost wykolejonych, i dość jest wziąść do ręki pismo peryodyczne, żeby się dowiedzieć jakiego rodzaju ludzie ofiarują dzisiaj swoje usługi jako towarzysze podróży.

Jakim sposobem dopuściły Niemcy u siebie podobny stan rzeczy — trudno doprawdy zrozumieć.

K.

TO I OWO.

✱ Na miano prawdziwej wyspy szczęśliwości zasługuje niewielka przestrzeń lądu rzucona pośród Oceanu Spokojnego na pół drogi między Nową-Zelandyą a Nową Kaledonią. Nosi ona nazwę wyspy Norfolk. Historya jej należy do bardzo ciekawych.

Odkrył ją w roku 1776-ym Coock i pozyskał oczywiście dla Wielkiej Brytanii, a pierwszą ludnością jaka jej przypadła, stanowił transport przestępców.

Nie wspominają, dla jakich przyczyn musieli ją Anglicy opuścić wkrótce po objęciu w posiadanie, to pewna, że była opuszczoną przez czas jakiś, a następnie znowu odzyskaną, i tym razem ustanowiono tam kolonią dla skazanych recydywistów. Głośną była odtąd wyspa Norfolk z krwawych scen i mordów, jakich się dopuszczali między sobą osiedleńcy, ale niebawem powstrzymano dalsze transporty karne do kolonij Australskich, a wraz z tem opuścili Anglicy tę posiadłość pozostawiając na niej wzniesione budowle rolnicze i więzienne.

W tym samym czasie ludność innej wysepki złożona z potomków marynarzy zbuntowanych w połowie XVIII stulecia na okręcie Bounty i wysadzonych za karę na ten ląd bezludny, niezadowoloną była z miejsca swojego przymusowego pobytu. Wysepka ta nosiła nazwę Pitcaire i uważaną była jako niezamieszkana. Zapomnianych przez świat cały osiedleńców odnalazł tam statek Angielski po wielu latach, a że zainteresowała się ich losem Anglia cała, więc i żądaniu ich zaniesionemu do rządu królestwa W. Brytanii o pozwolenie objęcia w posiadanie wyspy Norfolk stało się zadość. Oddano im wyspę wraz ze wszystkiem, co się na niej znajdowało.

Na to nowe miejsce osiedlenia odległe od dawnego o 4,820 kilometrów wylądowało w r. 1836 ludzi 199. W zeszłym roku Paweł Wenz z Nowej-Zelandyi w sprawozdaniu swojem złożonem angielskiemu Towarzystwu Geograficznemu powiada, że zaludnienie wyspy Norfolk wynosi obecnie głów 832. Żyją ci mieszkańcy z połowu wielorybów i z rolnictwa, używają doskonałego dobrobytu i spokoju, a to wszystko pod rządem jedynym w swoim rodzaju. Na czele administracyi stoi urzędnik zwany Chef-Magistrate, pobierający pensyi 623 franki, naczelnik poczty zaopatrzony w roczne wynagrodzenie wynoszące 200 franków i trzeci jeszcze dygnitarz państwowy, którego rzeczą jest regestrowanie gruntów obejmowanych w posiadanie, a ten za swoją pracę otrzymuje rocznie 125 franków. Są to zapewne niewielkie wynagrodzenia, ale trudno jest dawać więcej tam, gdzie państwo nie ma dochodów żadnych, a dochodów być nie może, bo podatki są nieznane na wyspie szczęśliwości. Jedyną powinnością, do jakiej obowiązani są wszyscy mieszkańcy od 17 do 60 lat wieku, jest 4 dni robocze w ciągu roku, niezbędne do utrzymania w porządku dróg i mostów. Kodeks, którym się rządzi ta ludność spisany jest na 2 arkuszach papieru; nadto nie ma policyi żadnej, bo nikt nie zakłóca spokojności, i nie ma więzień, bo nie ma wcale przestępców. Klimat zdrowy pozwala obchodzić się bez lekarzy, a posiadania nie mąci nikomu sąsiad, bo każdy żeniący się otrzymuje od państwa 25 akrów ziemi na własność. Uprawiają ci szczęśliwcy: kawę, trzcinę cukrową, banany; sadzą drzewa pomarańczowe i cytrynowe, jabłonie i wino. Jednem słowem nawet Tomasz Morus nie był w stanie wyobrazić sobie pomyślności podobnej, i jeśli ona ma być trwałą, godziłoby się dać radę tym wybrańcom losu, aby się z biegiem czasu nie dali skusić na żadne z dobrodziejstw naszej cywilizacyi, no i żeby u siebie nie odkryli przypadkiem jakich kopalni złota lub dyamentów, bo wtedy z pewnością pożegnaćby im się przyszło z dzisiejszym stanem rzeczy.

OD ADMINISTRACYI.

Osoba, która w dniach poprzedzających Święta Bożego Narodzenia wnosiła prenumeratę w kantorze *Tygodnika Mód i Powieści* i *Przyjaciela Dzieci*, i pozostawiła tamże pewną kwotę pieniędzy, za udowodnieniem odebrać je może w każdym czasie.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

GAZETA POLSKA

NAJWIĘKSZY DZIENNIK POLSKI,
WYCHODZI W WARSZAWIE,
przy współpracownictwie doborowych sił pisarskich.

Od Marca, r. 1895, drukuje GAZETA POLSKA w odcinku nową powieść

HENRYKA SIENKIEWICZA

37745 pod tytułem:

QUO VADIS.

Jest to epopeja apostolstwa chrześcijańskiego, wspaniały wizerunek narodzin nowej wiary w łonie starzejącego się rzymskiego cesarstwa.

NOWI ABONENCI „Gazety Polskiej," którzy ją zaprenumerują (najmniej na kwartał) od Nowego Roku 1896, otrzymają, **jako premium nadzwyczajne,** *wszystkie początkowe feljetony „QUO VADIS"* **BEZPŁATNIE,** *za nadesłaniem jedynie 50 kop. w markach pocztowych na koszta ekspedycyi i administracyi. Tęż kwotę obowiązani są składać także i nowi abonenci miejscy w Warszawie. Nadmieniamy, że jest to ostatni kwartał, w którym nowi abonenci mogą dostawać początek „QUO VADIS."*

Obfitość i szybkość informacyi jest cechą *Gazety Polskiej,* która stara się o jaknajwiększą ilość depesz, drukuje stale **korespondencye** ze wszystkich **stolic** Europejskich i z przeważnej liczby **miast** krajowych.

Artykuły Gazety Polskiej polityczne, społeczne, naukowe, literackie, artystyczne, wyróżniają się ze względu na swą liczbę, dobór i urozmaicenie.

Prócz tego daje *Gazeta Polska* swoim abonentom **bezpłatne Dodatki powieściowe,** których w roku ubiegłym otrzymali *cztery tomy. W Dodatkach* tych znajduje czytelnik najwybitniejsze nowe utwory literatury Europejskiej.

Sprawozdania handlowe *Gaz. Pols.* odznaczają się obfitością i dokładnością danych Szczególną uwagę zwraca przytem *Gaz. Pol.* na **ceny produktów rolnych,** które podaje systematycznie zarówno z rynków krajowych jak zagranicznych

Cena „Gazety Polskiej:" W Warszawie: Rocznie rs. 9.60 Półrocznie rs 4.80 Kwartalnie rs. 2.40 Miesięcznie kop. 80 z odnoszeniem do domu.
Na Prowincyi: Rocznie rs. 12. Półrocznie rs. 6 Kwartalnie rs. 3.

Adres „Gazety Polskiej:" Warszawa, Warecka Nr 14.

Agentura „Gaz. Pols." w Łodzi: przy Księgarni R. Schatke'go, ul. Piotrkowska.

Zaleca się umieszczanie **ogłoszeń w „Gaz. Polskiej"** ze względu na jej poczytność

---

5. ŻABIA 5.

Nowy Magazyn Główny

Poleca na obecny sezon piękne czepeczki damskie najświeższych fasonów. Pluszowe od rs. 1.50. Futrzane od rs. 2.25. Karakułowe od rs. 2.50. Mufki, Kołnierze. Kapelusze **filcowe, aksamitne, Kapotki** po zniżonych cenach.

WYROBY WŁASNE.

30 12 **Roman Dąbrowski.**

Nowość dla Dam

BIGOULITS

świeżo sprowadzone z Paryża do szybkiego fryzowania włosów bez przypalania, co konserwuje i zapobiega przedwczesnemu siwieniu
Do nabycia w Perfumeryi

„ROMANA,"

5. Mazowiecka 5. 40114

Znakomite dzieło **D-ra E nesta Brücke'go,** Profesora fizyologii Uniwersytetu Wiedeńskiego, p. t.:

Jak ochraniać Życie i zdrowie dzieci?

w tłómaczeniu polskiem przez M. Flauma, opuściło prasę i sprzedaje się we wszystkich księgarniach po **Rs. 1,** z przesyłką pocztową **Rs. 1 kop. 15.** 38328

Zamówienia z prowincyi za zaliczeniem pocztowem, natychmiast są załatwiane.

Adres: S. LEWENTAL, Wydawca, w Warszawie, Nowy-Świat Nr 41.

HERBATĘ

rozw. pod banderolą rządową

Skład Krakowskie-Przedmieście róg Trębackiej, w WARSZAWIE, **№ 23.**

Samowary, TACE, NOŻE stoł., MASZYNKI do kawy, SZCZOTY i t. p.

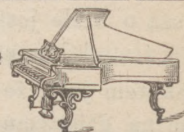
poleca

M. MASZKOW.

37-1



Największe w kraju składy **FORTEPIANÓW** PIANIN i MELODYKONÓW



HERMAN & GROSSMAN

Warszawa, MAZOWIECKA Nr 16.
St-PETERSBURG. MOSKWA. LUBLIN.

WYNAJEM. Sprzedaż na rozpłaty miesięczne począwszy od rs. 25. **WYNAJEM.** 38518

Illustrowane katalogi na żądanie gratis i franco.

ZAKŁAD OGRODNICZY



SKLEP NOWY-ŚWIAT 69

(dom dawniej Hr. Zamoyskich).

URBANOWICZ i RÓŻYCKI Skład Materyałów Aptecznych, oraz Parowa Fabryka Środków Opatrunkowych i Pokostu Krakow.-Przedmieście 17 vis à vis kościoła Karmelitów. Ceny nizkie Towar tylko wyborowy.

Skład wszelkich wyrobów Pończoszniczych i Bielizny

15 Krak.-Przedm. 15 **A. RIEDEL** istnieje od 1830 r.

poleca Szanownej Publiczności dla Osób dorosłych i Dzieci:

Pończochy	*Chustki* orenburskie	*Chustki* płócienne, batystowe i do fraka
Skarpetki	*Chustki* jedwabne	*Chustki* na szyję
Kamasze wciągane i na guziczki	*Chustki* wełn. pluszowe	*Kołnierzyki*
Kamizelki	*Rękawiczki* ciepłe	*Mankiety*
Staniki ciepłe	*Rękawiczki* jedwabne	*Spinki, Szelki*
Garnitury zdrowia	*Rękawiczki* dla służby	*Koszule* znane z doskonałego kroju.
Garnitury kutner. najciepl.	*Krawaty* najświeższe	*Kalesony*

Ręczniki i Płótna Jarosławskie i zagraniczne.

Najświeższe modele *Bluzek, Matinek i Spódnic* jedwabnych na flaneli.

Towary tylko dobre. Ceny możliwie nizkie.

Wybór Wielki zadowolnić może wymagania skromne i wykwintne.

Przyjmuje się obstalunki. Przyjmuje się obstalunki.

39232

Franciszek Kozłowski

Rymarska 7, róg Leszna, w Warszawie.

WYPOŻYCZAM na wesele, bale, rauty i przyjęcia nakrycia stołowe składające się z porcelany, szkła, plateru, bielizny stołowej oraz KRZESEŁ i Stołów, Lamp, Żyrandoli, Świeczników, Kandelabry, Wazony do kwiatów, Półmiski platerowane do majonezu i pieczystego. TACE platerowane i Wazy do mrożenia szampańskiego. 40214

ZNANE Z NIEPORÓWNANEJ DOBROCI

Pączki „Olbrzymy Ananasowe"

! 2½ kop. Sztuka 2½ kop. !

ciągle gorące.

Faworki waniliowe funt 40 kop. 40314
Cukry deserowe funt 50 kop. } z pudełkiem
Praliny wyborowe f. 60 kop } z pudełkiem
Herbatniki, Biszkopty funt 30 i 40 k.

Poleca w najlepszych gatunkach

FABRYKA

Zygmunta Kraszewskiego

dawniej WINKLER & KRASZEWSKI

Rymarska 16, Marszałkowska 111, Wierzbowa 5, Nowy-Świat 37.

Дозволено Цензурою, Варшава 27 Декабря 1895 г. Druk Emila Skiwskiego, Warszawa. Redaktor i Wydawca Jan Skiwski. **DODATEK.**